

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



№ 212.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 17 października 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.—Klasztor pokamedulski w Biniszewie (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Przegląd polityki zagranicznej.—Albrecht Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski (z drzeworytem).—Zamek książęcy w Poznaniu (z drzeworytem).—Pomywaczka, obrazek z końca XVIII wieku, (dalszy ciąg).—Dawne ubiory i uzbrojenia (dalszy ciąg) (z drzeworytem).—Szachy.—Rebus.



KLASZTOR POKAMEDULSKI W BINISZEWIE.

KLASZTOR POKAMEDULSKI W BINISZEWIE.

Na drodze z Kaźmirza do Konina w Kaliskiem, leży wieś Biniszewo czyli Biniszewo, mająca pamiętną kartę w dziejach martyrologii kościoła polskiego. Tu bowiem w pobliższej puszczy, na początku XI stulecia, kiedy jeszcze zwyczaj pogańsko-słowiański z oporem ustępował wierze chrześcijańskiej, osiadło pięciu braci Polaków: Jan, Mateusz, Izaak, Chrystyan i Barnabas, towarzyszy św. Wojciecha i ztąd rozchodzili się rozpowszechniać słowo Boże po okolicach. Ich pobożność, gorliwość w nauczaniu i uczynki miłosierne, taką im sławę zjednały, iż Bolesław Chrobry, dowiedziawszy się o tem, sam ich odwiedził i, hojnie darami obypawszy, ułatwił sposobność dalszego dobrego czynienia. Dary te jednak stały się powodem nieszczęścia które ich spotkało; swawolne bowiem żołnierstwo, powziawszy wiadomość o zostawionych skarbach, napadło świętych pustelników, w nocy na modlitwie zostających, i zabrawszy takowe, samych zamordowało.

Król kazał surowo ukarać winowajców, ciała zaś męczenników pochowane były w Kaźmirzu, zktąd w r. 1005 do Gniezna przeniesione zostały. Jeden atoli ocalały pustelnik, dalej na tem miejscu pozostawszy, przybrał nowych towarzyszy i z nową gorliwością zakon i wiarę rozmnażał.

Na pamiątkę tego wypadku postawiono potem cztery kapliczki w samym Kaźmirzu, a piątą przy drodze prowadzącej do Biniszewa. Następnie w r. 1640 Wojciech Kadzidłowski kasztelan inowrocławski, ówczesny dziedzic tej włości, na cześć świętych męczenników, właśnie na miejscu gdzie przed wieki mieszkali, wystawił wśród gęstego boru przy wsi Biniszewie mały klasztor czyli erem dla kamedułów, których z Bielna pod Warszawą sprowadził. Zakonnicy sami wymurowali w r. 1781 kościół, którego wizerunek przedstawiamy, i utrzymywali w nim nabożeństwo aż do czasu swęj supressyi, czyli do r. 1819; poczem opuszczony, wkrótce znacznie podupadł, zwłaszcza iż nabożeństwo raz tylko do roku w nim się odbywa. W ten sposób zostawione bez opieki i dozoru mury powoli szły w coraz większą ruinę. Wszakże jest teraz nadzieja że klasztor ów będzie uratowany; nowy bowiem właściciel Biniszewa, p. Mielżyński, ma podobno chwałebny zamiar wyrestaurowania tej pięknej świątyni.

Kronika tygodniowa.

Dzienniki francuskie piszą o sławnym aktorze Lassagne, który umarł na pomieszenie zmysłów, że choroba ta objawiała się u niego różnemi ekscentrycznemi czynnościami. Pomiedzy temi przytacza Figaro jeden fakt dość zajmujący.

Kiedy jeszcze stan umysłowy p. Lassagne nie wymagał zupełnego pozbawienia go wolności, wpadł on na myśl szczególniej rozrywki, myśl której pozazdrościłby mu niejedyn mizantrop, pragnący czynić doświadczenia na ułomnej naturze ludzkiej. Lassagne napelniał obie kieszenie drobną miedzianą monetą i siadał do omnibusu. Zabierał miejsce obok konduktora. Po drodze, dla ułatwienia podróżnym opłaty za miejsce, wyciągał rękę, brał pieniądze, płacił konduktorowi i następnie oddawał podróżnym drobne przez tegoż zwrócone, wsunawszy w nie ręcznie trochę drobnej monety z kieszeni wyciągniętej. Następnie śledził uważnie wyraz twarzy przejeżdżającego, który zapłaciwszy dziesięć soldów za miejsce, otrzymywał zwykle dwanaście albo trzynaście reszty. Zazwyczaj się zdarzało, że podróżny rachował, odrachowywał znowu i wreszcie kładł pieniądze do kieszeni, nie mówiąc ani słowa. Lassagne utrzymywał, że nie zdarzyło mu się napotkać kogoś, coby zwrócił nadpłacone pieniądze, a powróciwszy do domu z kilkunastoma soldami mniej w kieszeni, śmiał się do rozpuku z chciwości ludzkiej.

Owóż jeden z moich znajomych opowiadał mi, że także same tu w Warszawie doświadczenie odbywał.

Na pochwałę jednak publiczności warszawskiej przynależy, że podczas ośmiu kursów, z siedmiu podróżnych, którym znajomy nasz w wiadomy sposób wypłatę ułatwił, trzech zatrzymało nadpłacone pieniądze, a czterech je zwróciło, co w stosunku do doświadczeń przez p. Lassagne robionych, jest już bardzo szczęśliwym rezultatem.

Godnem jest jednak uwagi, że to, co zwykle nazywamy pocziwością, jest najwzględniejszą w świecie przyziemnością.

I gdyby można było zaglądać do głębi serc i sumienia ludzi, jakże wielu uważanych za najpocziwszych, musiałoby koniecznie pożegnać się nazawsze z tą nazwą!

Spytajcie się kassyerów, oni wam powiedzą, że co rok prawie muszą odkładać jakąś sumkę na konieczny deficyt. Zktąd to pochodzi? Oto ztąd, że ci którym się wypłaca, najczęściej nie prostują pomyłek, jeżeli te na ich korzyść miały miejsce.

A jakież to rozmaite są odcienia tej skrupulatności ludzkiej, w unikaniu krzywdy bliźnich, która w ogóle pocziwości nosi miano!

Szczególniej w drobnych rzeczach daje się to widzieć.

Znałem pewnego jegomościa, który słynął za najrzetelniejszego pod słońcem. I rzeczywiście powierzano mu największą wagę interesu, obracał bardzo często znacznemi summami, które mu do użytkowania z nich oddawano i nigdy ani grosza nie uroił. Ma się rozumieć że wszelkie swoje długie płacił z jaknajwiększą skrupulatnością i można mu było bez kwitu tysiące powierzyć, co też często czyniono.

Otóż zdarzyło mi się że rozmawiałem o tym panu z osobą blisko go znającą i na wiarę innych wysławałem wielce jego pocziwość.

— A czy widziałeś go kiedy grającego w preferansa? zapytał mój interlokutor.

— Przypnę że nie, ale cóż to ma do rzeczy?

— Jak go zobaczysz kiedy siedzącego przy stoliku z kartami w rękę, stań za krzesłem i przypatruj się grze, a potem powiesz mi co o nim sądzisz.

I w istocie uczyniłem tak, a przypatrując się uważnie jego zachowaniu się podczas gry, przekonałem się że ten człowiek, tak słynny z sumiennosci swojej, gdy sądził że grający z nim nie uważają na niego, przypisywał sobie ukradkiem po kilka punktów do pomaganych. Stanowiło to różnicę kilkunastu, może kilkudziesięciu groszy; jegomość ów i ci co z nim grali byli tyle zamożni, że różnica ta nie prawie dla nich nie stanowiła; ale w każdym razie postępowanie tego rodzaju, bez względu na kwotę nieprawnie zyskaną, można było tylko nazwać prostym oszustwem.

Wieluż to także, i bardzo pocziwych, przy kartach nie poprawia przeciwnika, gdy się myli w rachunku, owszem gniwają się na widzów, jeżeli ci ostrzegają o błędzie. Zdaje się że w takim razie przysłowie używane przez nich: „Kto nie dopatrzy wzrokiem, ten dopłaci workiem“, ma bardzo naganne zastosowanie.

Inni znów bez ceremonij żadnych zaglądają w karty przeciwnikom i znajdują to rzeczą najzupełniej zwyczajną, bo nawet schwytni na uczynku przyznają się do tego że śmiechem. Podług mnie, tacy także nieprawym sposobem wyzyskują dobrą wiarę drugich.

Bo w pocziwości żadną miarą nie może być dwóch dróg, dwóch sposobów postępowania.

Gdyby każdy z nas chciał napisać szczerze spowiedź swoją, jak to Rousseau uczynił, ileż to nagannych uczynków wyszłoby z cienia!

Właściciele jednego z najbardziej uczęszczanych tu tejszych zakładów cukierniczych odkładają codziennie pewną kwotę pieniędzy na *ukradzione* ciastka.

Tak jest, na *ukradzione*..... kładziemy przycisk na ten wyraz, chociaż uczęszczający do tej cukierni, należą wszyscy do klasy ludzi, z pozoru przynajmniej, zamożnych i nie powinni się łakomić na wyzyskanie tym sposobem dziesięć albo dwadzieścia groszy.

A przecież jeden z właścicieli owej cukierni, z którym mówiłem o tem, zaręczał mi że sam zna takich panów, którzy czyhają tylko na sposobność wzięcia czego z bufetu i niezapłacenia. Przybywają oni zwykle wówczas, kiedy największy ruch i najwięcej gości w sklepie, zakręcają się tu i owdzie, aż nareszcie, kiedy im się zdaje że żaden garson nie zważa na nich, chwytają coperdziej ciastko i oddalają się z nim w głąb sklepu, dla skonsumowania tej zdobyczy, zdala od badawczego wzroku bufetowych. Jeżeli ci ostatni zobaczą to oszustwo, to przy porachunku przypominają wprost o owych ciastkach ukradkiem zjedzonych, a amator niepłatnych słodczy, widząc swój podstęp odkryty, nie robi żadnej kwestyi i oddaje należność. Najczęściej jednak się zdarza, że uchodzi im to bezkarnie i że przy zapłaconej złotówce, odjedzą sobie drugą w procencie. Trzeba jeszcze dodać, że ci panowie mają nader strawną żołądek, któremu nadmiar zjedzonych ciastek żadnej szkody nie przynosi.

Niewątpliwie dzieje się podobnie i w innych cukierniach, oraz w różnych zakładach tego rodzaju.

Są przedmioty bardzo łakome dla wielu, cygara naprzykład. W niektórych zamożnych domach jest zwyczaj przy większych zebraniach podawania cygar w całych pudełkach, żeby każdy kto zapragnie palić, mógł sobie dowolnie użyć tej przyjemności. Otóż sam na własne oczy widywałem, jak niektórzy, oprócz zapalonego cygara, brali dwa albo trzy do kieszeni, pod pozorem że są dobre i suche. Zdaje mi się wszakże iż powyższe wymienione przyziemności wpływają i na podwyższenie ceny tego produktu i że przywłaszczający sobie cygara dlatego że są *dobre*, podwójną właści-

cielowi ich czynią krzywdę. Nie było prawie przykładu, żeby pudełko postawione tym sposobem gościom do dyskrety, nie wypróżniło się przed końcem jeszcze wieczoru. A jednak zaproszeni wydają się zwykle porządnymi ludźmi i sądzę że przed każdym z nich możnaby było bezpiecznie pieniądze albo kosztowności jakie postawić, bez obawy ażeby pomyśleli o przywłaszczeniu ich sobie.

Są ludzie polujący na różne rzadkości, którzy bez skrupułu sumienia gotowi przywłaszczyć je sobie nawet nieprawymi środkami, jeżeli inaczej nie mogą osiągnąć celu.

Opowiem wypadek tego rodzaju, który, tak jak Orgon w Świętoszku widziałem na własne oczy.

Działo się to dość dawno, kilkanaście lat temu.

Pewna pani otrzymała w darze rzadkiego ptaka, do którego przywiązała się wielce. Był to jakiś nowy rodzaj małej papugi. A oswojoną ona była dziwnie: jadła zawsze z ręki, nie potrzeba jej było zamykać w klatce, gadała wyraźnie, nie dając się wcale prosić, rozmaite frazesa i umiała mnóstwo tych sztuk tak poszukiwanych u zwierząt, dowodzących nieraz nadzwyczajnego ich instynktu.

U tej pani byłwał bardzo często pewien zapalony ornitolog, któremu się ta papuga bardzo podobała.

Ale nie przyimioty o których wspomniałem pociągaly go do niej; mało on sobie ważył jej oswojenie się, przyjacielskość, figle i papuzią wymowę; zachwycała go jedynie w niej szczególna jakaś odmiana w barwie piór, układzie szyi i dzioba i mawiał zawsze, że to pierwszą papugę w tym rodzaju zdarzyło mu się widzieć.

Nie wiem tam w czem ona się różniła od innych, ale to pewna, że nasz ornitolog upatrywał w niej oddzielne jakieś cechy.

— Daj mi pani tego ptaka, mawiał on nieraz do właścicielki papugi, ja go muszę wziąć pod doświadczenia i rozbiór, nietylko co do zewnętrznego, ale i co do wewnętrznego układu; będzie to bardzo ważna zdobycz dla nauki.

— Więc pan chcesz chyba zabić moją papugę? zapytywała śmiejąc się właścicielka.

— A dlaczegożby nie? Przecież życie takiego marnego ptaka, warto dla nauki poświęcić. A po śmierci wypcham go starannie i postawię w swoim zbiorze, a zobaczy pani że wówczas ta papuga będzie daleko jeszcze piękniejsza aniżeli dawniej.

— Dziękuję panu, rzekła właścicielka, ale ja wolę ją żyjącą, aniżeli najstaranniej, chociażby przez pana, wypchaną i zakonserwowaną.

Na tem się kończyła zwykle rozmowa o papudze. Trzeba jednak dodać, że owa pani nie pomyślała nigdy o tem, ażeby ornitolog czynił na seryo tak mordercze dla jej ptaka propozycje. Zdarzyło się jednak iż papuga, objadłszy się zbyt łakoci, których jej nie szczędzono, zachorowała.

Wielka niespokojność w domu. Lękano się przyzwać weterynarza, bo papuga nie jest psem ani koniem, a właścicielka jej nie sądziła ażeby sztuka weterynarska sięgała poza te dwa gatunki domowych zwierząt, poddawane zwykle jej eksperymentom. A tu trzeba było radzić czempredziej, bo papuga zapadała coraz gorzej.

Któs wspomniał o ornitologu, twierdząc że on tylko jeden będzie mógł znaleźć zbawienny środek na chorobę ulubionego ptaka.

Posłano czempredziej list z zaproszeniem.

Przywołany zbawca zjawił się wkrótce i opatrzywszy starannie pacjenta, zapisał z poważną miną, pod którą ludzie zastanawiający się głębiej mogli byli upatrzeć utajone zadowolenie, jakieś środki apteczne.

Nie wahano się podać papudze przepisane lekarstwo.

Skutek był szybki i niechybny, papuga bowiem zdechła we dwie godziny po wyżyciu zadanych jej przez ornitologa środków.

Nie będziemy tu próbować opisywać rozpaczliwych właścicielki ptaka; ale uczony nie posiadał się z radości, postawił bowiem na swoim, bo otrzymawszy ciało zdechłej papugi, wypchał je i umieścił w swoim zbiorze.

Znałem różnych zbieraczy, którzy towarzyszy swoich, w tej manii mniej wytrawnych od siebie, oszukiwali bez wyrzutu sumienia w różnych zamianach i kupnachs, twierdząc że wyświadczać przysługę nauce, odbierając rzadkie i kosztowne egzemplarze takim, którzyby nie umieli ich ocenić. A potem przed tymi samymi, których skrzywdzili, szczylicili się owymi przedmiotami, niezawsze prostym sposobem wyzyskiwanymi.

A cóż powiecie o pożyczających książki? Wieluż to myśli o oddaniu ich? Porachujmy się z sumieniem, bracia moi, i opatrzmy wielu z nas posiada cudze książki. Dzieje się to bez myśli skrzywdzenia właściciela, tylko wprost oddaniu przeszkadza lenistwo i

lekceważenie cudzej własności, które u nas bardzo daleko jest posunięte. Żeby otrzymać upragnione dzieło, nie pożałujemy czasu ani fatygi, a potem oddanie odkładamy z dnia na dzień, aż gdzieś się zarzuci, albo też nieopatrznie pożyczymy tę cudzą własność komuś trzeciemu, że wreszcie zaginie bez śladu.

Mówię o tem z zupełnym przekonaniem. *Quorum pars magna fui*, jak opiewa pobożny Eneas, pozbawiony bowiem zostałem tym sposobem mnóstwa kosztownych dzieł, i sam nawet, o zgrozo! mam parę książek cudzych na sumieniu.

Od książek do koni zdaje się daleki bardzo przeskok, a jednak w handlu koni, pomiędzy wieloma obywatelami naszymi, niesumienność niemalą dotąd grała rolę. Wieluż to było, wieluż to jest takich, którzy oszukiwać na koniu, pokrywać podstępnie jego wady, podrabiać regestr, wypisać sztucznie i t. d. i t. d., wcale sobie za grzech nie uważają. Nadużycia te bywały już wielokrotnie przez wprawniejsze od mojego pióra opisywane. A jednak wszystkie owe biczowania w powieściach, komediach, szkicach charakterystycznych i t. d. i t. d., skutkowały jak rzucanie grochu na ścianę, i nie mówię już handlarze koni z professy, ale obywatele, sprzedający sąsiadom i znajomym swoim, szczycili się, niby z wielce chwalebnego uczynku, jeżeli im się udało kogo w pole wyprowadzić. Ilekroć to na jarmarku łowickim i innych pomniejszych można było dopatrzeć się faktów podobnego rodzaju! A jednak nie uwłaczało to bynajmniej godności i sławie obywatelskiej.

A teraz co się tyczy służących; tu już lista nasza byłaby znakomicie powiększona.

Któż bowiem kucharka albo kucharz nie zarabia na wydatkach gospodarskich? Na ten zarobek mamy nawet osobną nazwę *koszykowe*, nazwę która już się uatarła i weszła w użycie. Koszykowe w oczach kucharki jest rzeczą konieczną, dozwoloną, niezbędną. To zysk co się wlicza do jej zasług, jak kości, piérze z drobiu, skórki z zajęcy i inne odpadki kuchenne, które sprzedaje Żydom. Kiedy się godzi na jakie miejsce, dowiadując się o lekkiej czy ciężkiej służbie, kucharka pyta się zarazem czy pani chodzi sama do miasta, czy odważa mięso w domu, czy dowiaduje się o cenach targowych? Jeżeli informacje te źle wypadną, nie godzi się do służby, chociażby jej tam większą aniżeli gdzieindziej ofiarowano zapłatę. Bo zarobek w mieście stanowi drugą jej płacę. I nie kryje się nawet z tem, choćby schwytana na uczynku. Sama mówi: „a cóżbym robiła, gdyby mi tu i owdzie nie zdarzyło się parę groszy zarobić?” Zdaje się, że kucharki tak są przekonane o godziwości tego zarobku, że nie spowiadają się nawet z niego, bo widziałem takie, które nazajutrz po spowiedzi kradły panią bez litości na mięsie. Już to w pobieraniu cen nad takę oznaczoną, zawsze tonie siekierka pomiędzy rzeźnikami a kucharkami. Kto ją odnajdzie? Nieraz słyszałem jak Francuzki lub Angielki przyjeżdżające tutaj dziwią się że gospodynie nasze zamykają przed służącymi kredens lub szpizarnię i chowają klucze. Ale jakże się ma dźiać inaczej? Gdyby kredens lub szpizarnia były otwarte, nieby się w nich nie ostało. Krasć kawę, herbatę, cukier, rodzynki, migdały i inne przysmaki, używane do potrzeb domowych, to dla naszych służących zwyczajna rzecz, to nie występki wcale. Pod tym względem proste wyobrażenia moralności nisko jeszcze bardzo stoją. Taka która z największą skrupulatnością odda zapomniane gdzie w kącie pieniądze, będzie kradła bez sumienia chleb, masło, sér, szynkę, nie myśląc o tem że i to pieniądze kosztuje.

Nie chcę już nawet wspominać o kubanach i łapowém. O tem nadużyciu i różnych kształtach pod którymi ono się rozwija, tomy całe trzeba by pisać. Na szczęście nie jest to u nas wada zakorzeniona. Kubany dają się pod różnemi kształtami: w pieniądzach, w naturze, w obiadach i śniadaniach, w ułatwieniach wszelkiego rodzaju. Kiedyś, przy sposobnej chwili, opiszemy sróroko i dokładnie historią i charakterystykę kubana. Mamy ku temu wiele bardzo ciekawych nagromadzonych szczegółów. Tutaj zaznaczamy tylko to nadużycie, jako jedną jeszcze odmianę złodziejstwa, którego się dopuszczają ludzie niby porządni z pozoru.

Jeżeli kuban jest skutkiem, to defraudacya bywa przyczyną nieraz. Bywają defraudacye porządne, regularne, ujęte w sztukę lub rzemiosło; ale o tych nie mówię już nawet, zanadto bowiem są one bijące w oczy. Lecz istnieją także defraudacyjki niewinne, mało znaczące, nieszkodliwe. I któż się ich nie dopuszcza? Ja, wy, oni, wszyscy w ogóle. Szczególniej kobiety celują pod tym względem. One nie ścierpiatyby nigdy, żeby przyjechawszy z zagranicy nie przewiozły z sobą jakiego zakazanego towaru, pod nosem urzędników celnych, którzy widzą to nieraz i śmieją się z o-

strożności i podstępów na oszukanie ich używanych. A spytajcie się ile to defraudowanych cygar przechodzi przez granicę. I palacze kupują je bez żadnego wyrzutu sumienia, nie sądząc żeby się dopuszczali przez to jakiegobądź nadużycia. Prawda i to, że wyjątkowa sprzedaż cygar i tytoniów była i jest jeszcze u nas bardzo dojną krową. Olbrzymie na tem piędzide porobili ludzie, nie więc dziwnego, że ten który im pokątnie urywa zarobku, wcale sobie tego nie ma za wyrzut sumienia. To grosz co nie zostanie w kieszeni, mówi on, grosz oderwany od milionów, które na mnie i na drugich ktoś zarabia. Zawsze to jednak defraudacya, ale defraudacya która na wszystkich punktach kuli ziemskiej uważana jest za nienaganną, przez tych którzy jej się dopuszczają, tak że u nas jak i w Paryżu każdy nabędzie chętnie cygara defraudowane, jeżeli mu się ku temu dobra nadarzy sposobność.

Tutaj jednak należałoby oznaczyć granicę jaka istnieje pomiędzy rozmaitemi rodzajami defraudacyi. Kupiec albo przemysłowiec dopuszczający się tego nadużycia, potępiany bywa przez wszystkich, podczas kiedy prywatnemu uchodzi to jakoś i nikt nie ma mu za złe tego drobnego nadużycia. A to pochodzi zjad głównie, że kupiec i przemysłowiec, ciągnąc zyski ze swojego procederu, ujmuje defraudacyą w karby rzemiosła, jest defraudantem ciągłym i szuka na tem zysku, podczas kiedy prywatny, wykręcając się od należnej opłaty, wyjątkowo i przypadkowo tylko to czyni. Kupiec i przemysłowiec podwójnie zyskuje, bo naprzód na skarbie, powtóre na tych, którzy zakupują od niego towar w tej myśli, że on już przynależne cło od niego opłacił; prywatny zaś krzywdzi tylko skarb, do którego i on sam, jako opłacający podatki, grosz swój wkłada. Kradnie on więc wszystkich potrosze, ale ta kradzież, na tak wielką rozłożoną ilość, jest bardzo mało znacząca. Nie uniewinnia to wprawdzie defraudacyi prywatnej, tłumaczy ją wszakże pod pewnym względem.

Nie skończylibyśmy nigdy, gdybyśmy chcieli wylizować wszystkie szramy, jakie codzien, co godzina, co chwila wyrządzane bywają w poczościwość ludzką. Krucha ona jak opłatek, wiotka jak słomka, a giętka jak trzcina przytęm. Ilekroć to z bogactwem oszustów wyszło na uczynek ludzi. Ilekroć to złodziejom ulicznych, którzy, gdyby im los jakbądź był pomyślnie dopisał przy początkach życia, staliby się może daleko porządniejszymi ludźmi od tych których okradają. To wielkie i ciemne tajemnice zbrodni i żądź ludzkości, w których niezmiernie głębokie strachy nieraz wzrok zapuszczać. Nie natura, tylko traf i sposobność czynią zwykle zbrodniarzy. Ale dość tego na dziś, bo nie myślimy tu całego kodeksu karnego przesuwac przed oczami czytelników.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

16 października.

W d. 13 b. m. rząd francuzki poniósł nader dotkliwą stratę. Minister stanu, Billault, jeden z najwybitniejszych obrońców rządowych, przeniosł się do wieczności. Strata tego męża tem boleśniej da się uczuć rządowi Napoleona III w chwili gdy żywioły opozycyjne izb francuzkich szykują się do walnych rozpraw parlamentarnych. W rzeczy samej i senat i izby zwołane zostały dekretem cesarskim na dzień 5 listopada, a już dzienniki opozycyjne zapowiadają szerokie dyskusye nad odpowiedzią na mowę tronową i wewnętrznym zarządkiem Francji. Jakkolwiek nie wierzymy w skuteczność tej jęczynnej szermierki, wyznać wszakże musimy, że obecność p. Billault miałaby wpływ wywrzeć mogła na pogodzenie stronniw i ułatwienie rozpraw. Urodzony w 1803 r., Billault był adwokatem i deputowanym za Ludwika Filipa; w r. 1852 ministrem ciał prawodawczego, w 1853 spraw wewnętrznych, następnie ministrem mówcy, wreszcie od 24 marca r. b. ministrem stanu. Dzienniki podają nazwiska dwóch kandydatów do miejsca po b. ministrze, między którymi rząd francuzki wahać się ma jeszcze: Walewskiego i Baroche. Pogłoski o słabości cesarza Napoleona nie potwierdziły się dotąd. Odpowiedź arcyksięcia Maksymiliana wywołała najsprzeczniejsze po dziennikach wnioski. Podczas gdy dzienniki austriackie upatrują w słowach arcyksięcia zupełną odmowę, francuzkie wprost przeciwnie widzą cele. Mówią nawet że cesarz Napoleon napisał własnoręczny list do arcyksięcia, w którym zupełnie pochwała jego przemowę, uznając ją za właściwą. W każdym razie obje-

cie spadku po Juarezie nie zaraz nastąpi i nowy tron cesarski przez długi czas jeszcze osieroconym będzie. Cesarzowa Francuzów udała się do Hiszpanii, w zamiarze zwiedzenia Sewilli i kilku innych miast; obecnie udaje się do Madrytu.

Korzystając z tak dobrej sposobności, nadającej podróż cechę misji politycznej; zdaje się wszakże iż spotkanie się cesarzowej z królową Izabellą jest prostą wymianą sąsiedzkich grzeczności.

Kwestya rzymska wydobywać się zaczyna z długiego letargu. Nieporozumienie jakie zaszło między władzami papieżkiemi i generałem Montebello do tego wzrosło stopnia, iż opuszczenie Rzymu przez Francuzów i wkroczenie Wiochów zdawało się niewątpliwem. Wyjazd generała Montebello do Paryża jeszcze bardziej wzmocnił wiarę w te pogłoski; ale dzienniki francuzkie zaprzeczyły temu wszystkiemu, utrzymując, że właśnie w celu niedopuszczenia zerwania stosunków, cesarz udzielił generałowi urlop miesięczny. Tymczasem bandytyzm na dobre szerzy się w Neapolitaniskiem i zapuszcza swe krwawe szlaki aż pod bramy Neapolu. Mówią o dymisji generała Lamarmora i objęciu obowiązków namiestnika przez księcia następcę. Generał Pallavicini trzy razy pobił bandytów: Schiavone i Caruso. Nowy ambasador angielski sir Elliot przybył do Turynu w d. 9 b. m.

Na początku bieżącego tygodnia dzienniki angielskie na wyścigi glosiły, że wojna Niemiec z Danią musi nastąpić, że nikt temu nieporozumieniu nieczem zapobiedz nie zdoła. Dziś nowa zmiana frontu i znowu wierzą w pokojowe rozwiązanie. Morning Post wierzy że sejm niemiecki przyjmie propozycje Anglii i Francji dążące do zgody, a Globe twierdzi że Austria i Prusy nie odważą się zaczepiać Danii, bo wiedzą że nie zyskać, a wiele stracić mogą. Zwracają też uwagę na spotkanie się króla pruskiego z królem Leopoldem, rokując sobie z tego utrzymanie pokoju. W ogólności nawet w Kopenhadze zapewniają, że wojna może być usunięta, zwłaszcza że i sam rząd duński ma zamiar przejrzyć konstytucyą i tym sposobem cofnąć patenta z 30 marca. W każdym razie, przejrzenie konstytucyi duńskiej, odraczając gwałtowne przesilenie kwestyi szleswickiej, nie jest wszakże ostatecznem tej kwestyi rozwiązaniem.

Gazeta Krzyżowa podaje obszerną treść okólnika austriackiego, z okoliczności odpowiedzi króla pruskiego na list członków kongresu w Frankfurcie. Hrabia Rechberg stanowczo odrzuca warunki pruskie i zapowiada obszerne memorandum w tej sprawie. Tak więc praktyczne skutki zjazdu frankfurckiego w przedmiocie jednoci niemieckiej zredukowane są prawie do zera. Tymczasem uwaga dwóch głównych dworów niemieckich w Wiedniu i Berlinie zwróconą jest głównie na sprawy wewnętrzne. Charakter przyszłych wyborów w Prusach dotąd oznaczyć się nie da; tymczasem zjazd króla Wilhelma z królem belgijskim i przywołanie do Baden prezesa prowincji nadreńskich i prezesa regencyi kolońskiej dały powód w Berlinie do nowych pogłosek o zmianie polityki wewnętrznej.

Wynikłe w łonie Nationalvereinu spory, grożą temu stowarzyszeniu zupełnem rozwiązaniem. Dekretem najwyższym nakazano obchodzić jubileuszową pamiątkę bitwy pod Lipskiem w d. 18 października uroczystym nabożeństwem we wszystkich kościołach państwa pruskiego.

Parlament jónski ogłosił uroczyste przyłączenie wysp jónskich do Grecji, pod berłem Jerzego I. Korrespondencye z Korfu podają liczbę głosujących: za 19,990 a 16,614 głosów przeciw przyłączeniu.

Ostatnie depeze. Paryż 14 października. Monitor zamieścił nominacye kilku posłów, między innymi: Latour d'Auvergne do Londynu, Sartiges do Rzymu. Przy tej sposobności cesarz wyraża w liście do barona Gros podziękowanie za poświęcenie, z jakim odłożył na później zamierzone wystąpienie z zawodu dyplomatycznego. Obecnie okoliczności pozwalają uwolnić go od obowiązków ambasadora w Londynie. Mówią że hr. Walewski zostanie posłem przy dworze wiedeńskim.

Londyn 12 października. Cesarz Napoleon zaprosił króla Jerzego do Tuileries. Królowa Wiktorya wypadła z powozu. Jej królewską mość doznała lekkiej tylko kontuzji. Sejm niemiecki polecił wygotować odpowiedź na depezę Lorda Russel w przedmiocie egzekucyi związkowej. Wieść o wystąpieniu Lorda Russell z gabinetu i wejściu lorda Clarendon nie sprawdziła się dotąd.

Berlin 14 października. Na wczorajszym posiedzeniu rady ministrów pod prezydencją króla zajmowano się, według Gazety Krzyżowej, sprawami zagranicznymi. Posiedzenie trwało trzy godziny.

ALBRECHT STANISŁAW RADZIWIŁŁ,

KANCLERZ WIELKI LITEWSKI.

W rodzinie Radziwiłłów, największych panów litewskich za czasów dawnej Rzeczypospolitej, liczących tytuł znakomitych mężów na polu rycerskim i politycznym, Albrecht Stanisław odznaczył się jako biegły dyplomata, gorliwy stróż prawa w. ks. litewskiego, zawsze czynny dostojnik, a przytém człowiek nieugiętego charakteru, zacy i poczciwy.

Życie jego jest najwierniejszym obrazem panowania królów Zygmunta III, Władysława IV, a w części Jana Kazimierza, na których dworze odgrywał niepospolitą rolę i posiadał u wszystkich prawie jednostajne zaufanie, szacunek i wiarę.

Wychowaniec jezuitów, miał w sobie wszelkie przymioty i wady kierunku edukacji tego zgromadzenia. Z tej atoli przyczyny był ulubieńcem Zygmunta III, który odkrywając w nim skłonności podobne do swoich, przez całe życie obdarzał go przychylnością bez granic i do najskrytszych rad swoich przypuszczał. Władysław IV, w zasadach bardziej umiarkowany, chociaż często nie zgadzał się ze sposobem pojmowania rzeczy księcia Alberta, cenił jednak jego prawy charakter, niezłomną wolę i ścisłość w wypełnianiu powierzonego mu obowiązku. Nakoniec co się tyczy Jana Kazimierza eks-jezuitę, pojęcia w. kanclerza zupełnie z usposobieniem jego się zgadzały.

Radziwiłł był w duchu swego wieku i zwyczajów krajowych bardzo pobożny, (co później dopiero nazwano fanatyzmem,) jak wszyscy podówczas zabobonni, w gusła i strachy wierzący; to jednak nie przeszkadzało mu być dobrym i zręcznym politykiem, człowiekiem uczonym i literatem. W historii zatem równie jak w piśmiennictwie jest to nader charakterystyczna postać.

Albrecht Stanisław Radziwiłł urodził się w Olyce 1595 r. Utraciwszy rodziców w bardzo młodym wieku, oddany był przez opiekunów do akademii wileńskiej, utrzymywanej przez jezuitów. Wyższe nauki pobierał za granicą, bawiać w tym celu w Niemczech, Belgii, Holandii, Anglii i we Włoszech. W r. 1612 powrócił do kraju i wnet z województwa wolińskiego obrany został posłem na sejm, złożony umyślnie dla uspokojenia wojska skonfederowanego. Po ukończeniu powierzonej sobie czynności, wyjechał znowu do Francji, gdzie w roku 1613 przyjęty był na dworze królewskim z takim odznaczeniem i tak się umiał podobać, iż, jak powiadają jego biografowie, chciano nawet wydać za niego Maryję Ludwikę księżniczkę mantuańską, która potem była królową polską, żoną Władysława IV i Jana Kazimierza. Nawet już był dzień ślubu naznaczony, gdy nocy jednej nasz Radziwiłł miał sen przestrogający, aby tego nie czynił: co na nim takie miało zrobić wrażenie, że postanowił zerwać się świetnych związków, ujechał tajnie z Paryża i pomimo wysłanej za nim pogoni, zdołał powrócić do domu.

Nie myślimy bynajmniej zaprzeczać, aby bogaty, młody i piękną powierzchownością obdarzony Radzi-

wiłł nie mógł się podobać na dworze francuzkim; jednak całej tej romansowej powiastce przeciwi się ta krytyczna okoliczność, że Maryja Ludwika, urodzona w r. 1614, była wtedy jeszcze zbyt małoletnią dziewczęciem, aby o jej zamęciu myśleć można było. Bądź co bądź, Radziwiłł w r. 1617 przybył do Polski i zaraz udał się na dwór króla Zygmunta III, który go bardzo polubił, i dając tego dowody, wnet 26-letniego młodzieńca, bez wielkich jeszcze zasług w państwie, na pierwszym sejmie 1618 r. wyniósł na podkanclerzego w. ks. litewskiego, zaś w cztery lata potem już kanclerzem wielkim litewskim i starostą wileńskim mianował.

To jednak prędkie wyniesienie usprawiedliwiały czynności i działania księcia. Wszędzie gdzie tylko o-

ności i przyczyniał się do pozyskania godnego przyjęcia dla syna potężnego monarchy.

Potem znowu w radzie królewskiej był najczynniejszym członkiem, nabierając coraz większego znaczenia i wpływu, do czego wprawdzie i jezuita potężnie mu dopomagali. Król też nieprzestannie zlewał na niego swe łaski, obdarzając korzystnymi starostwami, które Radziwiłł, chociaż niezmiernie bogaty, chętnie przyjmował, a nawet ubiegał się o nie. Zygmunt III, umierając, naznaczył go ostatniej swej woli wykonawcą.

W czasie bezkrólewia 1632 r. widzimy potężnego kanclerza litewskiego nadzwyczaj czynnym; godzi on zwaśnionych pomiędzy sobą hetmanów nader szczęśliwie; na zwołanej zaś konwokacji z jednej strony staje w obronie i podtrzymuje prawa miast zagrożonych przez nowe uchwały stanów litewskich, co mu prawdziwą cześć przynosi, z drugiej najsiłniej spzeciwia się żądaniu innowierców, którzy się domagali wolności wyznań i równouprawnienia z innymi obywatelami kraju. Pod tym względem Radziwiłł z całą namietnością jezuita był nieprzebieganym; nietylko bowiem na wszystkich sejmach stawał za sprawą katolików i za duchowieństwem, lecz tolerancji religijnej żadnej nie pojmował, owszem za szkodliwą dla państwa uważał: więc gdzie tylko mógł psuł szyski dyssydentów, których z całej duszy nienawidził. Niechęć tę posuwał do tego stopnia, że na sejmie koronacyjnym 1633 r., kiedy nowo obrany król, usiłując we wszystkim bezstronność i sprawiedliwość zachować, wydał przywilej dyssydentom, który się im wedle słuszności należał, kanclerz w. nie chciał przyłożyć do niego pieczęci, wymawiając się zakazem swego spowiednika, a gdy musiał to uczynić, zaraz zaniósł protestacyą do grodu, nie zważając na powagę majestatu.

Nieugiętym był także w pilnowaniu przywilejów Litwy, pod względem odrębności jej praw od Korony. Jakoż przez lat 37 strzegąc wielkiej pieczęci, nie pozwolił na żadne w tej mierze uchybienia i nie raz nawet ośmielał się stawiać przeciw woli monarchy. Tak za Władysława IV książę Albert jeden z pierwszych objawił opozycyą królewskim zamiarom wyprawy na Turcyę i oświadczył iż wprzód dopuści odciąć sobie rękę, niż przycisnie pieczęć do uniwersałom na zaciągi wojskowe. Napróżno starał się król różnemi spo-

kazala się potrzeba pomocy, trudów i pracy, czy to w cywilnej, czy w wojskowej służbie, Radziwiłł nigdy się od nich nie uchylał. Na wszystkie wyprawy zdane w tym czasie, własnym kosztem zaciągniętego żołnierza, i to w znacznej liczbie, wysyłał, a w potrzebie sam stawał. Nieodstępny przy boku monarchy, niósł mu gorliwą i umiejętną pomoc, to przy popisie wojska, to w rozmaitych rokowaniach i poselstwach biorąc udział. Kiedy zaś w r. 1624 Zygmunt III postanowił wysłać syna swego Władysława dla zwidzenia obcych krajów, jemu powierzył nadzór nad młodym królewiczem, uczyniwszy go jego przewodnikiem. W podróży tej Radziwiłł powagą swoją i taktem niemało wpływał na dodanie jej świet-

sobami przeciągnąć na swoją stronę kanclerza, który nie sprzeciwiał się Władysławowi z widoków politycznych, ale jedynie przez posłuszeństwo dla praw krajowych, niedozwalających królowi polskiemu wypowiadać wojny bez zgody wszystkich stanów. Wiadomo zaś iż stany odmówiły poparcia zamiarom królewskim i projekt musiał być zaniechany.

Za Jana Kazimierza także zdarzyło się, iż król polecił, aby książę przycisnął pieczęć do dekretu wydanego w znaniej sprawie Jewłaszewskiego przeciwko województwu wileńskiemu. Radziwiłł, dostrzegłszy że był napisany nie podług praw litewskich, nie chciał tego uczynić, a król rozgniewany rzekł do niego, iż się tak dobrze zna na prawie jak on. Na co książę Al-



ALBRECHT STANISŁAW RADZIWIŁŁ, kanclerz wielki litewski. (Podług wizerunku rodzinnego.)

bert odpowiedział: „Przebacz najjaśniejszy panie, że na to nie zezwolę. Wasza królewska mość jeden rok tylko panuje, a ja przez 32 lata około prawa chodzę.“

Prawda że był on dbałym o pomnożenie i tak ogromnej swej fortuny, lecz nikt też nad niego nie był skorszym do jej udzielania na potrzeby publiczne. Bogactw swoich nie szafował na przepych, ale używał ich na pobożne fundacye i miłosierne uczynki. Jego też kosztem stanęły pomiędzy innymi: kościoły parafialne w Niechniewiczach i Rumszyskach, w Kaźmirzu na Wołyniu (1629 r.), w Wielonie na Żmudzi (1635 r.), kościół św. Piotra, kolegiata i szpital w Olyce (1635 r.), kościoły parafialne w Nalibokach (1636 r.) i Krupie (1643 r.) W r. 1646 zapisał 40,000 złp. na fundusz dla biednych panien w Krakowie. Ubogim hojnie dawał jałmużny; gdy w Olyce mieszkał, codziennie 100 biednych karmił; w Wilnie, Warszawie i Krakowie co tydzień do szpitali jałmużnę posyłał. Względem siebie tak był surowym, że za

szawie 1655 r., zaś żywoty świętych w Krakowie 1653 r. Dzieł historycznych trzy zostawił: Pamiętniki rzeczy znaczniejszych, które się działy w Polsce od śmierci Zygmunta III, to jest od r. 1632 do 1652, pisane po łacinie, na język zaś polski przełożone przez wnuka jego księcia Hieronima Radziwiłła, wydane z druku przez E. Raczyńskiego w Poznaniu 1839 r. w 2ch tomach. Dzieło niezmiernie wagi, w sposobie Dyariusza ułożone, w którym autor zapisywał dzień po dniu co widział, robił i słyszał, skarbiec wiadomości do tych czasów. Niemniej ważną jest jego praca: O sprawach Zygmunta III po łacinie dotąd przechowana, lecz jeszcze nieogłoszona, oraz Rys panowania tego monarchy, w części tłumaczony przez Edwarda Kotłubaję i drukowany w czasopiśmie *Athe-neum* w r. 1848.

Ostatnie lata życia swego spędził Radziwiłł w Prusiech. Za pierwszej bowiem wojny szwedzkiej księżę, wierny swojemu monarsze, schronił się do

Kiedy na lechickiej ziemi wszędzie zaczęły wznosić się krzyże i świątynie prawdziwemu Bogu poświęcone, wtenczas czart rozgniewany, chcąc temu przeszkodzić, wpadł na myśl zatamowania biegu Warty, aby rozlane na okolicę wody zatopili wszystko czego piekło znieść nie mogło, to jest świątynie, grody i czcicieli krzyża. Skoro więc podczas ciemnej nocy duchów piekielnych wybiła godzina, skoczyli wszyscy do pracy. Była gdzieś opodal góra czy kopiec bogini Nii, którą poganie czcili jako swe bóstwo. Tam więc wśród hałasu, radosnych krzyków, szumu i szelestu po puszczy, z wszystkich ziem Polski zbiegli się czarci. Przybiegli Rokita i Smulka potwór, Węglik czarny, wreszcie Boruta psotny, okropny Widoracki, i którzy ich wreszcie wszystkich policzyć zdołał? Ci więc, złączywszy silne swe ramiona, jakby łańcuchem otoczyli pogański pagórek, a wyrwawszy go z posady, unieśli, aby nim nurty rzeki zawalić.

Lecą jak wichry ze swym ciężarem, mijają pola



BYŁY ZAMEK W POZNANIU.

lada grzech popełniony sam się karał, rozkazując biec dyscyplinami. Trzymał nawet w tym celu przy sobie jednego dworzanina, którego obowiązkiem było czuwać nad postępowaniem księcia. Gdy więc ten dostrzegł co w nim zdrożnego, miał prawo skazać go, stosownie do winy, na pewną ilość plag i sam mu je wyliczał. Taka dziwaczna pokora dziś trudną jest do pojęcia.

Księżę w wolnych chwilach trudnił się także literaturą, pisał wiele w przedmiotach religijnych i historycznych; lecz i w tym powodując się pobożnością, pierwsze drukował za życia, drugie zaś, daleko ważniejsze, zostały w rękopismie i dopiero w naszych czasach niektóre wyszły na widok publiczny.

Tłumaczył z łacińskiego dzieło Drexeliusza sławnego ascety, pod tytułem *Słonecznik*; pisma Gesinadiusza, Scholariusza i innych. Opisał życie Najświętszej Panny i jej cuda w kilku dziełach po polsku i po łacinie; historię męki Pańskiej drukował w War-

Gdańska i miasto to, jedyne w tej prowincji, staraniem swoim w podległości utrzymał. Dożył jeszcze kanclerz tej pociechy, iż widział króla powracającego do państwa swego i kraj dźwigający się z upadku; ale wkrótce, gdy w imieniu Jana Kaźmirza rozpoczął układy z królem duńskim i Stanami holenderskimi o przymierze odporne przeciwko Szwecyi, umarł prawie nagle w Gdańsku w dniu 12 listopada 1666 r. Ciało jego przewieziono do Olyki, pochowane zostało tamże w kościele kolegiackim.

ZAMEK KSIĄŻĘCY W POZNANIU.

Wśród miasta na lewym brzegu rzeki Warty, na dość wysokim i przykrém wzgórzu, wznosi się dawny książęcy zamek. O tym wzgórzu przechowało się podanie ludowe, które generał Franciszek Morawski wiérsem następnie opowiedział i upoetyzował.

irzeki, ucieka przed nimi ze snu zestrąszone ptastwo, szeleści wichry, na ziemi biją dzwony ludzką nie-dotkniętą ręką, a góra diabelską siłą dobiega już Poznania. Już Warta bliska, śmieją się diabły, gdy wtém kur zapiał, rozpięrzchły się złe duchy, a puszczona z ich ręki góra, w pobliżu rzeki osiadła i dotąd wśród miasta sterczy.

Lecz nie zaraz książęta polscy założyli na tym wzgórzu swe mieszkanie. Gdzie zaś był pierwsiastkowy zamek i gdzie mieszkali królowie Mieczysław I i Bolesław Chrobry, o tym nie wspominają nietylko naj-dawniejsi historycy i archiwa miejskie, ale nawet nie przechowało się żadne miejscowe pomiędzy ludem podanie. Przypuścić tylko można, iż to mieszkanie pierwszych królów naszych leżało na prawym brzegu rzeki, gdzieś może w pobliżu kościoła katedralnego, jak to zwykle bywało po stołecznych miastach; wreszcie na tym miejscu była pierwsza posada miasta Poznania. Zakładano też w owym czasie zamki zwykłe

śród błot i pomiędzy ujściami rzek, a w takim właśnie miejscu leży kościół katedralny poznański i otaczające go miasto.

Pierwsze historyczne o tym zamku świadectwo mamy u Boguśława pod r. 1249, według niego bowiem Przemysław I książę wielkopolski odbudował podówczas zamek i miasto około kościoła katedralnego. Tenże sam książę, znudzony zapewne częstymi wylewaniami rzeki Warty, której wody nie tylko mieszkańcom czyniły szkody, ale także do zamku książęcego dochodziły, przeniósł miasto na wyżej położony lewy brzeg rzeki, gdzie dzisiaj rzeczywiście miasto, a więc niedługo za założyciela Poznania może być uważany. On też, upatrzawszy w tej stronie wzgórek dość wyniosły, na nim w środku trzynastego wieku mieszkanie dla siebie i zamek książęcy założył. Tu roku 1257 urodził się zapewne Przemysław II, książę wielkopolski, który Polskę na części rozerwaną w jedną połączył całość i nanowu królem się koronował. W tym też zapewne zamku nieszczęśliwa Lukierda czyli Ludgarda, księżniczka kaszubska czy syrska, żona Przemysława, przez panny służebne, podobno z polecenia tego księcia, dla swej nieplodności uduszoną została (r. 1283). Długosz pisze (str. 834), iż jeszcze on słyszał pieśń staroświecką, którą śpiewano w Wielkopolsce o tej księżniczce i o Przemysławie. Karpiński pięknym rymem podanie to nam przechował. Karpiński zaś wziął je za przedmiot do napisania tragedii.

Następni po Przemysławie królowie zamieszkali w Krakowie, a tylko w czasie chwilowego pobytu swego w Poznaniu przebywali w tym zamku, który później stał się mieszkaniem starostów czyli generałów wielkopolskich. Kazimierz Wielki zamek ten podupadły wznosił nanowu z cegły i obwarował. Jakoż po śmierci Ludwika króla, w wojnie Grzymalitów z Naleczami, użyty był za warownię, z której ludzie Domarata, generała wielkopolskiego, dawali odpór Świdwie, kasztelanowi nakielskiemu, przyczem zamek wiele uciepić musiał. Tu też podówczas Zygmunt, margrabia brandenburgski, pretendent do korony polskiej, odbierał przysięgę wierności od Wielkopolan. R. 1536 d. 2 maja w wielkim pożarze miasta, spłonął także zamek ze wszystkimi zabudowaniami, akta jednakże grodzkie, w nim przechowane, uratowane zostały. W kilka lat później podźwignął go z gruzów Andrzej Górka, generał podówczas wielkopolski, tak iż r. 1556 stanęła znów w nim Zofia, córka Zygmunta I, udając się do swego małżonka, księcia brunświckiego. Roku 1574 przyjeżdżającego do Krakowa Henryka Walezygo na koronację, Sędziwój Czarnkowski, generał wielkopolski, wspaniale tu podejmował, a znakomitsi panowie polscy tłumnie nowego monarchę witali.

W r. 1655, gdy Szwedzi opanowali Poznań, zamek ten stał się siedzibą i mieszkaniem komendantów szwedzkich, a więzieniem obywateli i różnych mieszkańców, którzy wiernymi pozostali królowi, lub których Szwedzi o nieprzyjaźni ku sobie podejrzewali. Spustoszony znacznie podówczas zamek, znów generałowie wielkopolscy po skończonej wojnie naprawili; lecz w drugiej wojnie szwedzkiej, za panowania Augusta II, zniszczonym został powtórnie i całkowicie, jak się to pokazuje z lustracji oblatowanej w aktach grodzkich poznańskich z r. 1710. Czytamy tam między innymi, iż wieża przed zamkiem do połowy z dachu i lat była oberwana, na moście żadnych poręczy, brama zamkowa u wejścia z muru obłamana, furty we wrotach nie było, a wrota same podziurawione; wszędzie brak drzwi, okien, pieców, ognisk; żelaza nigdzie najmniejszego nie pozostawiono; dachy na pół były oberwane, ściany porozbijane, schody do górnych izb i piwnic poniszczone. Taki obraz wszędzie ten zamek przedstawiał; zato po izbach i dziedzińcu obficie było mierzwy i słomy. Do środka jednakże ośmnastego wieku musiał być przynajmniej w części naprawiony, gdyż Władysław Łubiński, w dziele swem: „Świat we wszystkich swoich częściach“, wydanem r. 1741, wspomina, iż zamek poznański, choć był zniszczony, zachował jednak akta grodzkie i ziemskie i odbywały się w nim sądy, przy znacznym konkursie panów wielkopolskich. Zupelne przecież podźwignienie z gruzów tego gmachu nastąpiło dopiero za panowania Stanisława Augusta. Wówczas odnowił go własnym nakładem Kazimierz Raczyński, generał wielkopolski, marszałek wielki koronny, jak się to z napisu kamiennego z roku 1783, umieszczonego nad drzwiami wchodowymi, pokazuje.

Gmach ten, otoczony murem, z bramą jedną główną wchodową na dziedzińiec od strony wielkiego rynku, nie zawiera dzisiaj w sobie nic starożytnego. Widok który nam załączona rycina przedstawia, zdjęty jest z przeciwnej strony od placu Sapieżyńskiego. Teraz w tych gmachach mieści się sąd appellacyjny re-

gencji poznańskiej, w dwóch zaś izbach dawne archiwum grodzkie, o którym chcemy jeszcze słów kilka powiedzieć.

Jak już wyżej wzmiankowaliśmy, przemieszkiwał w zamku poznańskim starosta generalny, zwany generałem wielkopolskim, gdyż był zwierzchnikiem wszystkich wielkopolskich grodów. Miał on swego surrogatora czyli sędziego zastępcę, pisarza, regenta, wiceregenta i innych dość licznych urzędników. Młodzież zaś sposobiąca się na urzędników stanowiła tak zwana palestrę, nad którą, równie jak i nad kancelaryą, miał dozór regent. Generał wielkopolski obsadzał urzędnikami siedm grodów wielkopolskich, to jest: w Poznaniu, Kaliszu, Kościanie, Gnieźnie, Pyzdrach, Koninie i Keyni. W Poznaniu i Kaliszu sądzili surrogatorowie, pozostałe zaś grody miały starostów podległych generałowi. Na zamku poznańskim odbywały się sądy grodzkie poznańskie, a akta grodzkie umieszczane były w jednej części zamku. Bywało więc tu nieraz ludno i gwarno; bo oprócz zwykłych sądów, jeżeli uchwała jaka sejmowa, uniwersał królewski, lub coś podobnego nie podobowało się szlachcie, biegła tłumnie z całego województwa na zamek do grodu poznańskiego, aby zanieść do akt tutejszych protestacyę. To znów często, osobiście po zgonie którego z monarchów polskich, odprawiali się na zamek poznański tak zwane koła, czyli wstępne narady, szlachty województwa poznańskiego i kaliskiego, a wtenczas liczby zebranej szlachty zamek prawie objąć nie zdołał.

Akta grodzkie i ziemskie, poczynawszy od roku 1383 aż do ostatnich czasów Rzeczypospolitej, w nieprzerwanym porządku do dni naszych się przechowywały i są nader ważnym materiałem we względzie prawnym, historycznym, oraz do dziejów rodzin, miast i wsi wielkopolskich. Złożone były te akta zawsze w tutejszym zamku, i tylko po wojnie szwedzkiej za Augusta II, z powodu zniszczenia zamku, musiano je chwilowo przenieść gdzieindziej. Przeto najprzód w roku 1714 chciano je umieścić w ratuszu, lecz gdy i tam równe pokazało się spustoszenie, złożono je w kamienicy pańien benedyktynek. W r. 1721 wyporządkowano w zamku pomieszczenie dla archiwum i przeniesiono do niego napowrót kancelaryę i akta grodzkie. Za panowania pruskiego znów się te akta tulać musiały, już to w klasztorze franciszkańskim, już w sądzie powiatowym, lecz od pewnego czasu powrócone zostały do gmachu zamkowego. Niedawno dołączono do tego archiwum, całkowicie lub w części, o ile się znalazły, księgi innych grodów wielkopolskich, obecnie pod rządem pruskim zostających, tak iż dzisiaj archiwum to za najobfitsze i najważniejsze dla dziejów dawnej Polski uważać można.

Nad bezpieczeństwem zamku i całością archiwum grodzkiego, czuwał murgabia, który miał pod swą władzą pewną liczbę pachołków zamkowych i był zarazem w pewnym względzie dyrektorem policyi w mieście. Do niego głównie należało poskramiać kłótnie i zwady, które szlachta z innych stron przybyła w Poznaniu wszczyniała. Nadto obowiązkiem jego było nieść pomoc z ludźmi swymi magistratowi, ile razy o to był wzywany.

O kilkadziesiąt kroków od zamku, stała dawniej wieża, dziś na dom mieszkalny zamieniona, w której niegdyś, na mocy wyroków sądowych, szlachtę zamykano. W dziedzińcu zaś zamkowym ścinano zbrodniarzy, osobiście ze stanu szlacheckiego.

POMYWAZKA.

OBRAZEK Z KOŃCA XVIII WIEKU,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Z rysunkami Gersona).

(Dalszy ciąg.)

Ubóstwo jak zbytek ma pewne rysy ogólne, z którymi się przedstawia zawsze trochę jednostajnie; przepych potrafi się łatwiej urozmaicić, choć mu nie zawsze udaje się szczęśliwie wyjść z pospolitości, unikając przesady i niesmaku. Nie widzę więc potrzeby malować wam ubogiej chaty, bo, z malenką różnicą, wszystkie one są do siebie podobne; tu fantazja rozposażać się nie może, chyba w drobnych szczegółach.

Wnętrze izby było uderzająco czyste i schludne, i to stanowiło jego całą ozdobę. Na ścianach pełno obrazków świętych, pokrzążanych wiankami i palmami i w okienkach trochę zieloności, stół, szafa wielka, parę ławek, a w kącie szerokie łóże białe, na którym leżała stara, blada i chorobą widocznie wycieńczona kobieta... Na kominku paliło się trochę ognia,

przy którym coś w garnuszczyku gotowała dziewczynka...

Książę, im mocniej się jej przypatrywał, tem czuła mu do niej goręcej biło serce... Była przesliczna, a z oczu niebieskich taki wyraz spokoju i niezmierną łagodności przeziarał, taka płonęła słodycz i dobroć jakaś rozumna!... Po codziennych rewiiach salonowych kobiet, wysnurowanych, wypiękionych a nie pięknych, po licach tych malowanych a nie świeżych, wyraz młodości i świeżości uderzał prawdą porywającą... Na księciu uczynił on wrażenie takie jakiegoby doznał człowiek przywykły patrzeć na obrazki, a nagle stający w obec żywego zycia...

Dziewczę niespokojne, wciąż zapięrało mu sobą drogę; widocznie chodziło mu o matkę. Nie czuła ona niebezpieczeństwa własnego, szło jej o staruszkę, którą, wyglądając ciekawie, pokaszliwała ze strachu...

— Powólcie mi wejść i spocząć, rzekł książę jak mógł najłagodniej, zmęczyłem się przechadzką... proszę was o szklankę wody i pozwolenie posiedzenia na minutkę.

— Julko... Julko? przerwał głos matki... ale puśćcież tego jegomości... cóż tam się tak drożycie?

Książę wszedł powoli i odwrócił się ku łóżku, aby starą podziękować, gdy ta wychyliwszy się lepij z za firanek, załamała ręce wychudłe i krzyknęła prawie przestraszona:

— Jezu Marya! a to nasz śliczny książę!

Książę Józef aż się cofnął, z kolei przelekły tem że go poznano, a Julka, ściągając pył fartuszkami ze stołka, przybiegła z nim szybko do gościa, który stał w pośrodku izby zmieszany.

— A cóż to księcia do naszej biedy przypędziło, mój śliczny panie? żywięj niżby się można spodziewać poczęła chora... A mój ty miły Jezul a toż to cud! Jakimże sposobem?...

— A zkądże wy kochana matko mnie znacie? zapytał książę, odzyskując mowę.

— Albo to was zapomnieć można? zakrzyknęła stara... Ja służywałam w Jabłonny i w zamku, a kto księcia raz zobaczył, toć go nie zapomni!

— I cóż ty teraz porabiacie?

— A! mój miły książę! nieszczęście nas tu zepchnęło! były lepsze czasy... Owidowiawszy po pierwszym swoim mężu, który był nie potem dworak, wyszło się drugi raz za rybaka. Pocziwe człeczysko... aleć go Bóg długi na świecie nie trzymał, a wziął do swej chwały... Mój Macieisko załamał się z lodem na Wiśle i aż trzeciego dnia znaleźli jego ciało, żeśmy je po chrześcijańsku pogrzebać mogli...

Stara zaszła się od placu.

— Zostało nas po nim sierot dwoje, mój książę, ja i to pocziwe dziecko... a tu i choroba na mnie... co mnie jak trupa na nie nieprzydatnego rzuciła na łóżko... Gdyby nie pocziwi towarzysze Macieja, rybacy co nam pomagają, jużby z głodu przyszło umrzeć i to dziecko zostawić na straszliwe sieroctwo. Ale Bóg opiekun...

Książę milczał wciąż zmieszany, oglądając się to na starą, która śpiesznie i coraz żywiej mówiła, to na dziewczę zaplonioną, dającą znaki matce, aby się nie męczyła zbytecznie rozmową.

— Czy nie słyszeliście że książę prosili wody! dajcież mu świeżej i weźcie czystą szklankę białą... moja Julko, a pocałujcie go w rękę i przeproście żeście go puszczać nie chcieli... Taż to synowiec króla jmc i taki dobry pan...

Julka, mocno przejęta nowiną że to był synowiec króla i książę, zakrzętała się około wody, ale jak na złość wszystko jej z rąk padało, wymykało się, paluszki krępyły i gdy przyszło na talerzyku podać szklankę, to się woda na pół nań rozlała, tak Julce rączka biegały ze wzruszenia.

Książę siadłszy rad był jaknajdłużej tu pozostać, aby patrzeć na śliczną Julkę, szczęściem nieskończona gawęda staruszki, która nanowu całe mu życie swoje opowiadać zaczęła, przedłużyła odwiedziny, hojnym ukończone podarkiem.

Nazajutrz książę przywiódł z sobą do chorąg doktora Lafontaine'a.

Na wiosnę następnego roku szepłano po Warszawie, od ucha do ucha podając sobie nowinę, obruszącą szczególnie kobiety wyższego świata, że książę Józef, który tak sobie lekko i prawie pogardliwie traktował najcudniejsze piękności Stanisławowskiego dworu, zamiast się zakochać w jednej z najjaśniejszych i najpiękniejszych pań, oddawna okazując dlań nadzwyczajną passyę, miał jakąś miłość pokątną, ukrytą, ponizającą go, dla jakiegoś ubogiego, nieznanego dziewczęcia.

Gniw wielkiego świata był potężny. Książę spotykał rozplamione lica, uszczypliwe przymówki, aluzje bolesne, ale przyjmował je z obojętnością szcze-

śliwego człowieka, z uśmiechem prawie wzgardliwym, nie sobie z nich nie czyniąc. Wieść o tej miłości nadzwyczajnej, dowodząca że książę nie był zupełnie ostrygłym i mógł kochać, obudziła niezwykłe usiłowania pochwylenia tak drogiego serca. Panie sądziły że z łatwością wybiją mu z głowy tę fantazję chwilową i zabiegają drogę w sposób, który tylko obyczaj tamtego czasu nieco uniewinniać mogły. Ale książę na to wszystko był dziwnie zimny, grzecznością nieco szyderską odpięając potwarze i zaloty, bardzo często milczał, odwracał rozmowę i mówić wcale nie chciał. Narobiło to wiele nie-nawiszczy, niechęci i spisków, bo wszystkie panie uznały że tak rzeczy zostawić nie można, iż należało koniecznie zmusić księcia by w swoim świecie szukał uspokojenia serca. Donoszono prawie codziennie o nowych zamiarach i czyhaniu na spokój bohatera, który pokręcając węża, ruszał ramionami tylko, lub odpowiadał swym usługom szpiegom:

— Dajcie im pokój! niech się sobie bawią... co to mi szkodzi...

Nikt prawie nie wiedział, jak rzeczy stały w istocie. W życiu człowieka tak wystawionego na ciekawość ludzi szpérania jak książę, trudno było ukryć się z chwilą życia, odstraszyć dla siebie; śledzili go wszędzie oczy niespokojne; powtarzano sobie po cichu gdzie go i kiedy widziano, kędy jego whisky przeleciał, o której przejechał konno, gdzie się przemknął pieszo... obliczano potem godziny aby dojść jak dnia użył, badano sługi by się dowiedzieć o której do domu powracał. Na to wszystko książę Józef uśmiechał się pogardliwie, zwłaszcza gdy mu piękna Anna, przesładowała go miłością swoją oddawna, zdawała rachunek z użycia dnia, który ją niezmiernie pracy kosztował wiele, a był wszakże fałszywy.

Miłość Anny była przywiązaniem, passyą, fantazją, nazwijcie to jak chcecie, wielkiej pani właściwą. Anna była od powikłaków pieśczonego dzieckiem, miała zachcenia gwałtowne, jak dziecię kapryśne, nie rozumiała poświęceń od siebie, tylko dla siebie... Książę Józef podobał się jej tak jak wielu innych, ale był synowcem królewskim, był królem młodzieży, był najgłośniejszym... a Annie która dla niego od dwóch lat okazywała najszańsą, kompromitującą miłość, nie dał innych nad zimną grzeczność dowodów współczucia. Miłości jej, oświadczeń, gniewów, zająca sobą, nie chciał rozumieć...

Anna była przesliczną brunetką... ale tak piękną, jak bywały obrazki; rysy miała regularne, wyraz twarzy łagodny i wystudyowany do rodzaju piękności; brak jej było charakteru i wdzięku. Coś marmurowego, zimnego szpeciło tę istotę, w piętnastym roku rozezarowaną, w dwudziestym zestarzałą moralnie. Ze wszystkich pozostały jej tylko gwałtowne, dziecinne fantazje... gdy zapragnęła czego, musiała dojść, choćby najkosztowniejzszymi ofiarami. Jedną z takich fantazji była dla niej miłość księcia Józefa, której pragnęła tym goręcej, im książę był obojętniejszy. Chciała się nim pochłubić... chciała pokazać swą siłę. Książę Józef w samym początku zaciekawiony zbliżył się do niej, ale poznawszy lepiej, odstąpił prędko... Pięknej Annie ta passya głośna i umyślnie uwidoczniwana nie przeszkadzała wcale wieść za sobą rojów wielbicielei... uśmiechać się, bawić, dawać przez kilka dni pierwszeństwo to temu, to innemu, a wzdychać do księcia i nawet trochę czasem płakać wieczorem z gniewu na niego. Goniąc za księciem po balach i przechadzkach, piękna Anna trafiała na tych co się za nią upędzali; zapominała o nim i śmiała się do rozpuku z trzpiotami... potem znowu napadała ją tęsknota okrutna na kwadrans i szła pusty po niej. Anna była jednym z najdoskonalszych produktów wyrafinowanej arystokratycznej cywilizacji, próbka tego co może z dobrego serca kobiecego uczynić zle wychowanie i zwichnienie pojęć o życiu. Wietrzna, rozpieszczona, zdziwaczała, chwilami dobra jak anioł, to znowu rozwścieklona i niepamiętna na nic, pobożna i zalotna razem, cnotliwa a nieumiejąca granic roznać gdzie się kończy cnota a zaczyna wina, szła w życiu, szczęściem prowadzona jego formami, bez których trudno przewidzieć gdzieby zając mogła. Jeżeli kto to ona zasługiwała na to imię wietrznej istoty, jakim poeta wszystkie napiętnował kobiety. Książę Józef miał dla niej jakąś pocziwą litość braterską, ale pokochać jej nie mógł. Im trudniejszemu stawało się do zdobycia to serce, tym było pożądaniem dla Anny; wmówiła w siebie że bez niego żyć nie będzie mogła, że umrze jeżeli go nie zdobędzie. Był to wielki cel jej bezcelowego życia.

Można sobie wystawić rozpacz i gniew pięknej Anny, gdy po stolicy rozeszła się wieść, że książę Józef jest zakochany, w kim? nie w jednej z tych piękności, które uwieczniły pastelle Marteau lub pędzel Grassego, ale w prostym dziewczęciu. Wieści mówiły o

wieśniaczce... gorzej, o służącej jakiejś... a starościna O... powtarzała, że książę *a le gout si depravé*, że nie mógł się zakochać i przywiązać tylko do *pomywaczki*. Zwano tę tajemniczą istotę nie inaczej jak *pomywaczką* i przydomek ten wyrażał całą wzdargę, cały gniew wyższego społeczeństwa przeciwko księciu i ową jej piękną, (niewiedzianno nawet czy piękną) nieznaną jej kochance.

Najgłębsza tajemnica osłaniała stosunki księcia z ową dziewczeczką; śledzono daremnie gdzie się ukrywała, wiedzianno zaledwie o jej istnieniu... Sama zmiana humoru księcia Józefa, już by go była zdradziła. Inaczej całkiem wyglądał człowiek szczęśliwy i spokojny, od znudzonego życiem i zniecierpliwionego szukaniem serca i przywiązania człowieka.

Od niejakiego czasu książę Józef niesłuchanie się zmieniał, przyznawali to nawet najmniej baczeni postrzegacze; z zobojeźniałego, pochmurnego, czasem trochę złośliwego człowieka, stał się wesółym, pobłażającym, dobrym, jak każdy co czując szczęście, radby nim, dla harmonii, cały świat obdzielić. Jest to w ludziach pocziwowych, że gdy im na świecie lepiej, chcieliby żeby wszystkim dobrze było. Ten komu dla przyprawy jego szczęścia potrzeba cudzych cierpień, jest niegodziwą istotą... komu boleść bliźniego zwiększa rozkosze, niewart imienia człowieka.

Nigdy też może książę Józef tak bardzo nie był dla ludzi pobłażającym, nie szukał tak we wszystkim dobrego, nie upierał się by widzieć jasno świat, człowieka, życie. Nawet ta piękna twarz jego, którą znacie, przybrała wyraz łagodnie zamyszonego spokoju i błogości.

Na pozór w jego zwyczajnym życiu i porządku dni nic się nie zmieniło, szpérania i rachunki godzin nie wykryły różnego ich użycia... Jak dawniej przelatywał wzdłuż Krakowskiego przedmieścia i Nowego świata aż do Ujazdowskich alei, niekiedy do Łazienek, konno lub karyklem, sam się powoził i dokazywał cudów, kierując osmą szalonemi końmi, uprzedzonymi do lekkiego powoziku, a słuchającami skinięcia jego silnej dłoni; jak dawniej dawał się zapraszać na Wolę, do sali Szulca, na pikniki i podwieczorki, jak dawniej tańczył z śliczną Julią Potocką i z nieodstępnym Wielohorskim pokazywał się wszędzie... a jednak szeptano po cichu, że książę spędza długie godziny u nóg tej, którą nazywano ze wzgardą *pomywaczką*!

Raz na wieczorze u pani Branickiej, śmiała i znana ze swych dowcipów pani Lucchesini, żona posła pruskiego, której miłość dla Juliana Ursyna była znana wszystkim, zagadnęła księcia w sposób przykry.

— Mości książę, rzekła do niego po francuzku, prawdaż to że w. ks. m. masz poczarwane gusta i że wolisz zgrzebne płótno od atlasów, a ręce czerwone od pięknych wypieszczonych dłoni? Cały świat mówi że książę kocha się, daruj mi wyraz, ale to nie ja go stworzyłam... w *pomywaczce*!

Książę Józef się zaczerwienił.

— Pani, rzekł, mógłbym jej odpowiedzieć, że nie każdemu dano kochać się poetycznie i mieć ideał na rozkazy, ale nie chcę być złośliwym. Nie widzę nic tak straszliwie poczarwanego w miłości dla... choćby zresztą dla *pomywaczki*. Serce idzie gdzie je woła niewzyciężona siła magnetyczna, nikt za nie nie odpowiada, jeśli mu się poddaje... Ale powiedz mi pani, co tak znasz dobrze życie salonów w których atmosferze wzrosłaś, czy w puchach łabędzych wyhodowała się piękniejsza serca i czystsze dusze od tych, które Bóg, powietrze, tęsknota, nędza, opuszczenie wyrabiają w piersiach prostaczków?

— Widzę, odparła kwaskowato pani Lucchesini, że książę zwolennikiem Rousseau... że wracasz do stanu natury.

Na tym przerwała się rozmowa, ale posłowa darować nie mogła księciu, że jej przypominał tak wyraźnie to, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, ale na co umyślnie zamykano niby oczy.

Najbliżsi przyjaciele księcia, ci z którymi żył ciągle i widywał się codziennie, gdy mowa była o tej nieszczęśliwej *pomywaczce*, najmocniej przeciwko potwarzy się obruszali, dowodząc że to wszystko było niegodziwie zmyśloną baśnią. Plotka pomimo to, siłą nabierając w pochodzie, wedle łacińskiego przysłowia: (*vires acquirit eundo*), nieoparta na niczym, coraz to się rozchodziła głośniejszą i jaskrawszą nabięrała barwy. Niewiedząc z jak i jak zaczerpnięte, powtarzano sobie na ucho szczegóły osobliwsze poznania się księcia z ową dziewczeczką, jej przeszłości, charakteru, rysowano nawet fizygnomię i obnoszono jakieś mniemane portrety ową kochanki, tak jak ową

ładną *młynarkę*, która do dziś dnia ucudzi za ulubienicę Stanisława Augusta...

Szczęściem dla księcia, usługom salonowi dostarczył plotek, razem zaczęli popisywać się z dwoma aż portretami, z których jeden do drugiego wcale nie był podobny i zdradzał fantazją ołówkową któregoś z uczniów Bacciarellego lub Norblina. Ta okoliczność wiarę w nich zachwiała.

— Są podrobione, zawołała piękna Anna. Szczególna rzecz, gdy wszystko się wie w Warszawie... jeden książę Józef ma talent ukrywania się z każdą czynnością i pozostania tajemnicą! To upokarzające! doprawdy.

Z innych całkiem powodów, mężczyźni podrażnieni byli tym odgłosem miłostek okrywających się tajemnicą, przeciwko zwyczajowi; gdyż w owe czasy więcej szukano chluby z tego rodzaju stosunków, niżeli zaspokojenia w nich jakiegokolwiek potrzeby. Zdradzało to zażdość kochanka i wywoływało z drugiej strony chętkę współubiegania się o lepsze. Grano chętnie w odbitego naówczas i silono się nieraz odsadzić, nie dla przywiązania, ale przez miłość własną. Staremu Tepperowi odbił ktoś piękną Alicję Włoszkę, o czym przy najmniej trzy dni mówiono na ucho, ale tak że wszyscy słyszeli... Najbliżsi przyjaciele serdeczni księcia Józefa zabierali mu się wypłatać figla, do którego i piękna Anna z drugiej strony zachęcała... Na nieszczęście owa *pomywaczka* kryła się tak, że nikt a nikt o niej nie wiedział... Jedni szukali jej w Mokotowie, drudzy na Woli, inni upatrywali ją na Krakowskim-przedmieściu... lecz koniec końcem nikt jej nie widział i nikt o niej nie wiedział.

— Ale to ostatni wstyd i sromota! wołała piękna Anna, waćpanowie nie zdalście się na nic wszyscy.. Jużciż można krok w krok za nim chodzić i dosłodzić. O, gdybym ja była mężczyzną!

Chodzili też krok w krok, ale niczego nie doszli.

Jednego wieczora piękna Anna jakoś była znużona, czuła się chora i postanowiła nie wyjeżdżać i nie przyjmować nikogo. Galonowany szwajcar odprawiał przybywających zimnem: „Niema kasztelanowej w domu.“

Poufali wszakże, nie słuchając go, wchodzili na górę i zasięgali bliższej wiadomości od kamerdynera Francuza. Louis wiedział doskonale kogo można było, mimo niedyspozycji, dopuścić do przedpokoju, kogo ożnajnić, a komu potwierdzić tylko udzieloną na dole nowinę o niebytności pani.

W istocie piękna Anna siedziała w swym budoarze, w białym negligowym stroju, osztytym koronkami, i bawiła się z ulubionym szpicem, poziwając nad życiem, które jakoś coraz robiło się dla niej nudniejsze... Miejsce na kanapce niebieskiej które zajmowała wśród atlasowych poduszek, tak było urządzone, że naprzeciwko miało zwierciadło, stanowiące drzwi do drugiego pokoiku toaletowego, i Anna spoczywając mogła zawsze surowo się zastanawiać nad sobą, czyniąc rachunek sumienia, z pomocą wiernego odbicia swych wdzięków.

Miała nawet to przywyknienie że, w domu i wszędzie gdziekolwiek się znajdowała, szukała zwierciadła, lubiła w nie patrzeć, chcąc zawsze zdawać sobie sprawę z najmniejszych szczegółów ubrania, pobiałych, rumieńców, pudru, fryzury...

Obok Anny siedziały dwie jej najserdeczniejsze i nieodstępne przyjaciółki: pani, którą naówczas w Warszawie zwano Dziobatką, bo ją ospa mocno poszczepiła... znana ze złośliwości i dowcipu, a chlubiąca się najpiękniejszą figurą, w pasie dającą się ująć w dłoni kobiecy, i siostra stryjeczna Anny, stolnikowa, młoda kobieta, której charakter stanowiło to, że się zawsze i wszędzie nudziła i ziewała. Mimo młodości i wdzięku, świat w którym się obracała wcale jej nie zdawał się obchodzić, żyła w nim nie znajdując przyjemności. Kręciła się wszakże z drugimi, ale roztargniona i zaspana.

Ta trójka przyjaciółek długo gwarzyła, przebiegając dzieje całej Warszawy, wyszukując skandalików, karmiąc się świeżuchnymi nowinami, jak olbrzymy mięsem świeżym w bajkach, gdy nareszcie piękna Anna spytała Dziobatkę wzdychając:

— A cóż o księciu Józefie? nic nowego?

— Zawsze Pepi ciebie zajmuje, moja droga...

— Nie wymawiajcie mi mojej słabości czy uporu... *C'est plus fort que moi*... ale wiecież co nowego?

— A! co mi dasz, to ci rozpowiem całą i ciekawą historią, odezwała się Dziobotka.

— Cóż? może tę, którą sto razy słyszałam, o *pomywaczce*? Ale wiecież gdzie się to jego bóstwo ukrywa?

— Wiemy przynajmniej jak wygląda, co robi. To cały romans, moja droga...

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 94.

Wiek XVI. Dwóch szlachty rozmawiających z lekarzem, za nimi dworzanie z odkrytymi głowami. Rysunek strojów ze Zwierciadła Reja. (Dalszy ciąg nastąpi.)

— Al mówże i nie trzymaj mnie na dwóch łapkach, jak ja czasem mego Dzidzi cukrem zmuszam do służenia.. no mów! bez przedmowy..

Dziobątka uśmiechnęła się..

— Wiście gdzie ona mieszka? spytała Anna.

— Jeszcze nie, ale się dowiemy wkrótce...

— Wiście jak się zowie..?

— O i to nie jeszcze...

— Jak wygląda przynajmniej?

— Wszyscy mówią że blondynka i że wcale nie jest tak ładną jakby się domyślać można.. dziewczę młodziuchne, twarzyczka dosyć pospolita, trochę świeżości.. *Mais le curieux de l'histoire*, to miłość Pepi, który.. który ją wychowuje, daje jej metrow, kształci, uczy i rzadko ją odwiedzając, całuje w rękę z uszanowaniem..

I Dziobątka szepnęła coś na ucho Annie, która ruszyła ramionami.

Stolnikowa ziewając dopomniła się o udział w nowinie owej, którą powtarzano tylko na ucho. Anna śmiejąc się podała jej trzy słowa, i wszystkie śmiać się zaczęły.

— Ale to niepodobna!

— To niema sensu..

— Mów dalej kochana.. dodała Anna.. ludzie stworzyli sobie jak widzę romans Marmontel'a z tej bardzo pospolitej historii.

— To co wiem, mam z jak-najlepszego źródła, rzekła Dziobątka. Wierzyć niepowiem że-
bym wierzyła? ale jest w tém coś prawdy.. a wreszcie: *si non e vero, e ben trovato*.

— Koniecznie chcą go zrobić bogatorem! szepnęła stolnikowa.

— Ale moja kochana mów już, bo goreję z ciekawości.

— Pepi najął dla niej przepyszne mieszkanie, o-

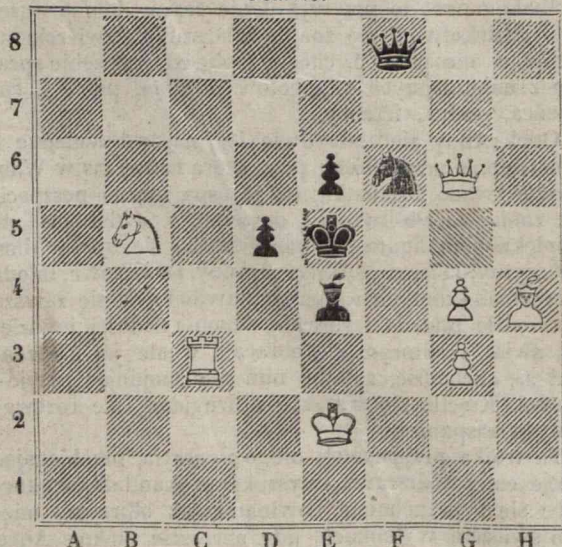
SZACHY.

ZADANIE CLXXV.

(S. R. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 174.

Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------|---------------------------|
| 1) E 3—C 2 ♠ . . . | 1) C 4—C 2 biorą. |
| 2) D 2—D 1 ♠ ♠ . . . | 2) E 1—D 1 biorą. |
| 3) F 3—F 3 ♠ . . . | 3) C 2—E 2. |
| 4) C 4—B 3 biorą ♠ | 4) C 3—C 2. |
| 5) G 4—F 3 . . . | 5) E 2—F 3 biorą ♠ i mat. |

sadził przy niej starą guwernantkę, rozpoczął wychowanie tego dziecka.. ale sam prawie jej nie widuje..

— Al to coś szkaradnego, odezwała się Anna.. z taką zimną krwią, z taką bezlitością karmić tę nieszczęśliwą jak bydło, które jutro na rzeź wydane zostanie. Wiele się przebacza namiętności gwałtownej, ale w tém jest coś tak rozmyślnie występnego..! Uważacie, dodała, radabym Pepi uniewinnić, ale bądźcie szczerze, do czego to podobne, taka wyrafinowana, chłodna, obrzydliwa rozpusta?..

Stolnikowa potwierdziła sąd siostry.

— *Cela n'a pas de nom!* rzekła powoli.

Dziobątka, która wcale inaczej zapatrywała się dotąd na tę romantyczną przygodę, zrazu milczała, potrzebując czasu na zmianę nagłą zdania, ale po chwili zawołała:

— Może nie macie racji.. on ją kocha gwałtownie, szczerze, serdecznie i właśnie dlatego szanuje ją..

— Miłość platoniczna! rozśmiała się Anna.. dajcie mi z tém pokój.. Pepi platonicznie rozkochany!..

Chwilka milczenia przerwała rozmowę; na twarz Anny wystąpił rumieniec gniewu.. wstała i poczęła się przechadzać po budoarze.

— Ale to wstyd, to ohyda dla nas wszystkich, zawołała wrzuszona, stając naprzeciwko lustra, w którym się przypatrywała z przyjemnością wdzięcznej swej postaci i rozdramatyzowanym ruchom... Wy wszystkie nie umiecie obrachować następstw tego wypadku. Zastanówcie się! pomyślcie! uważajcie! Pepi jest kwiatem naszej młodzieży, na niego świat ma oczy zwrócone.. człowiek jego wieku, jego temperamentu musi kochać.. Odrzuca kobiety, kobiety swego świata, gardzi nimi wszystkimi, rzuca nam w oczy obelgę, jakby mówił: Żadna z was mojej miłości i serca nie jest warta, będę sobie szukał kochanki na śmieciisku, tamta jeszcze lepszą od was będzie! Czyż to nie jasno? czy nie wyraźnie?.. Posadzam go że to zrobił umyślnie; mężczyzna jego wychowania, jego charakteru, nie mógłby się przywiązać do jakiegś prostaczki, szurgota.. jest to po prostu tylko wymierzona do nas impertynencya; mówi nam: Żadna z was nawet *pomywaczki* nie warta! To śliczne! A my? my z założonymi rękami spoglądamy na tę historię i obojętnie przyjmujemy policzek.. nie umiemy

się ująć za sobą nawet.. brak nam wstydu któryby obudził gniew! Nie chcemy się pomścić, jakbyśmy czuli że nas słusznie ta obelga dotyka..

Stolnikowa, rozbudzona żywem przemówieniem siostry, zmierzyla ją oczyma bładami, otworzyła usta, ruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Dziobątka śmiać się zaczęła.

Poskoczyła ku Annie, schwyła ją w objęcia i krzyknęła z zapalem:

— Wiész co, zrobimy spisek na Pepi.. ty stajesz na czele.. pokażemy że pomścić się potrafim.. Masz słusność, tego przebaczyć niepodobna.. Potrzeba obmyśleć środki, naradzić się *et porter un grand coup*.. Pepi nam wszystkim ubliżył, jest to niegodziwość z jego strony, jest to obrachowana obelga..

— A więc zemsta!.. Jutro zbieramy się u mnie dla narady; mężczyźni będą wyłączeni, którykolwiek z nich mógłby nas zdradzić; kochają go wszyscy i są dlań pobleżający..

— Ale czy się bez nich obejdziemy?

— Obejdziemy! Tajemnica jest najciszejsza pod przysięgą! dodała żywo zapalając się Anna.. U mnie jutro pierwsze posiedzenie..

Dziobątka, ilekroć miała coś do czynienia i intrygę do prowadzenia, była najszczęśliwszą; znać było zaraz po niej, że myśl spisku dogadzała jej niezmiernie, pochwycała kapelusze i chustkę..

— Jadę i zwołam na jutro wszystkie.. O której godzinie?

— Na dwunastą! ale tajemnica!

— O! tajemnica! Od niej wszystko zależy..

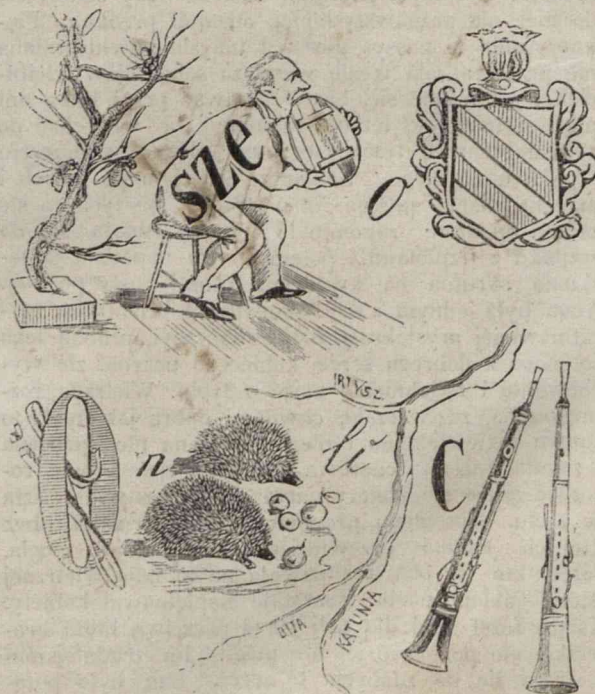
— Słowo?..

— Jaknajuroczystsze..

Tegoż wieczoru książę Józef wiedział o niedoszłym jeszcze spisku.. Stolnikowa szepnęła o tém mężowi, Dziobątka Francuzowi który się w niej kochał, Anna jednemu z wielbicieli. Książę śmiał się do rozpuku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 211.
Prawość i namaszczenie ducha, wielce upływiają na możebność podniesienia zalet serca.